

Moje wspomnienia (część 2)

Teraz wrócę do momentu kiedy to w celi więziennej w Baranowiczach spotkałam swojego ojca. Pytanie; skąd tam się wziął? Tego pamiętnego mroźnego poranka 10 lutego 1940 r kilku żołnierzy Armii Czerwonej i miejscowych chłopów eskortowało całą naszą rodzinę na 2 saniach do stacji kolejowej Mickiewiczze i dalej na tereny Związku Radzieckiego. Oprócz moich rodziców, brata Czesława i siostry Franciszki, zabrano również Stanisława Chaneckiego, osadnika wojskowego zamieszkałego wówczas u nas. Transport z ludźmi, także z pobliskich okolic, zatrzymał się na parę godzin w Horodyszczu, a następnie ruszył i było już ciemno na dworze gdy konwojowany transport ludzi zbliżał się do stacji kolejowej Mickiewiczze. Wtedy to mój ojciec powiedział po cichu do matki „Weź ode mnie lejce od konia... ja uciekam z Chaneckim”. Korzystając z panujących ciemności, ogólnego gwaru, zamieszania i chwilowej nieuwagi konwojentów ojciec z Chaneckim uciekli w stronę ośnieżonych domów a następnie w śniegu głębokim po pas i przy wielkim mrozie odchodzili pośpiesznie jak najdalej od stacji. Ucieczka się udała. Konwojent na koniu po chwili poszukiwał ich, wrzeszczał, klął ale bezskutecznie –

nie znalazł uciekinierów. Ojciec z kolegą chcieli przekroczyć granicę w Brześciu n/Bugiem, ale to się nie udało, było ciężko, bo miejscowi chłopci mieli obowiązek donosić władzy o napotkanych podejrzanych osobach. Wtedy to postanowili się rozejść każdy w swoją stronę. St. Chanecki poszedł do swojej rodziny (miał siostrę w Baranowiczach) a ojciec udał się w Baranowiczach na ul. Hoovera 79 do mojej byłej gospodyni p. F. Prozorowiczowej z prośbą o pomoc w ukryciu się przed wywózką na Sybir. Gdy poszukiwał pracy na tejże ulicy Hoovera „wpadł” na niego niespodziewanie enkawudzista i musiał się zdrowo tłumaczyć co tutaj robi? Opuścił dom po pechowym spotkaniem i wrócił do mieszkania p. Prozorowicz. I tutaj znów zastał go enkawudzista który tym razem przyszedł po mnie. Ojciec znów zapytany, co tutaj robi, odpowiedział, że odszedł z transportu po córkę. Tym razem enkawudzista już ojcu nie uwierzył i gdy go zabrał do więzienia to po drodze powiedział: „Macie szczęście towarzyszu, że trafiliście na dobrego człowieka... Wasze miejsce nie tutaj”. Widać, że zdarzają się dobrzy ludzie i między wrogami. Gdybyśmy wtedy stracili ojca, to prawdopodobnie cała nasza rodzina nie

przeżyła by gehenny zesłania w głąb Rosji. Przecież on mógł wtedy ojca zastrzelić bez sądu.

Podczas tego strasznego w skutkach wypadku z ojcem, pani Prozorowiczowa okazała się być dobrą patriotką Polski (jej mąż Józef był legionistą). Z narażeniem życia swojego i rodziny starała się ukryć ojca mego u siebie w mieszkaniu lub wysłać na wieś do swojej rodziny (wieś Młynek) niedaleko Baranowicz. Córka jej Alina jako dziecko lat 9 nosiła ciepłą zupę i chleb do wagonów podczas postoju zesłańców na stacji Baranowicze. Opowiadała mi o tym osobiście po wojnie. Pani Felicja zmarła w sędziwym wieku 87 lat w 1995 roku w Gdańsku. Jej dzieci; Tadeusz, Leokadia i Alina są na emeryturze i mieszkają w Gdańsku.

Ojciec nasz był dobrym człowiekiem dla miejscowych chłopów białoruskich. Parę dni po „oswobodzeniu” nas przez władze sowieckie, chłopci z pobliskiej wsi Bryksicze ukrywali u siebie ojca i brata Czesława przez kilka dni. Chłop nazwiskiem Bieńko powiedział do ojca „Czyżewicz, twojej żonie i córkom nic się nie stanie w domu a ty z synem skryj się u nas”. Tak też ojciec i uczynił. Córka tego chłopca Nadzia Bieńko pasowała latem u nas krowy. Również służąca Olga Pożniak-Jersz mówi dobrze o ojcu. Odwiedzam ją i jej rodzinę często podczas pobytu w tamtych stronach

we wsi Zielona, 3 km za Horodyszczem w stronę Świtezi. Pamiętam jeszcze jedno zajście z pamiętnego lutego 1940 roku, kiedy transport z zesłańcami wolno posuwał się pod górę w Horodyszczu do eskortującego „bojca”(żołnierza) podbiegła chłopka białorusinka ze wsi Jasieniec i wołała, (wskazując na naszego ojca) „towarzyszu, puśćcie tego człowieka, to dobry człowiek”, a on odpowiedział jej „To ty idź za niego...” Córka tej kobiety pasowała krowy u naszej sąsiadki p. Zbijewskiej.

Teraz wracam wspomnieniami do miejsca pierwszej zsyłki w obwodzie gorkowskim, do stacji Suchobieżwodnoje, 17 „lesopunkt”. A więc umieścili nas w dużych barakach, gdzie były 1-piętrowe przyczepy z masą pluskwów. Miałam już za sobą 2 i pół roku gimnazjum handlowego i chyba dlatego kierownik sklepu przyjął mnie do pracy jako ekspedientkę. Był to sklep z żywnością i trochę drobnej galanterii. Miałam szczęście bo nie musiałam iść do ciężkiej roboty w lesie. W sklepie pracowała też ze mną Alina (nazwiska nie pamiętam) lat 14, córka fryzjera, była tu z rodzicami. Kierownikiem sklepu był Ukrainiec-zesłaniec (dostał 10 lat), który dobrze rozumiał nas wygnańców. Podczas przerwy obiadowej mogłam zanieść gorącą słodką herbatę oraz chleb z konserwą mięsną (tuszonka wieprzowa) dla ojca, który

pracował nieopodal w tartaku jako pilostaw, a były silne mrozy. W sklepie kupowało się za ruble, był to rok 1940 i wojna jeszcze tu nie dotarła, więc jeszcze cokolwiek można było kupić. Po 5 miesiącach, gdzieś w sierpniu przesiedlono nas niedaleko do 6 „lesopunktu”. Tam ojciec pracował początkowo przy załadowywaniu i wyładowywaniu wagonów a następnie w pilostawni. Ja nie pracowałam. Na 17 posiołku naczelnikiem był Pirożyński. On przyjął za swoje polskie dziecko, chłopczyka (imienia nie pamiętam). Siostrę tego chłopczyka 2,5-letnią wzięło pod swoją opiekę starsze małżeństwo. Tych dwoje dzieci matka (nauczycielka) opuściła, uciekając przez okno na ulicę, gdy przyszli po nią żołnierze sowieccy zabierać na wywózkę. Myślała, że jak ucieknie im, to dzieci małych nie zabiorą. Jaki był dalszy los tych sierot nie wiem. Chłopczyk chyba został zruszczony, a dziewczynka czy przeżyła głód i nędzę?

Ze mną na posiołkach pracowały następujące osoby: Kazimiera Zaborniak, lat 18, wyszła tam za męża za Polaka lat 21 (nazwiska nie pamiętam) pracował w księgowości. We wrześniu 1940 r jechali pociągiem do obwodu archangielskiego do swoich rodzin. Z 6 punktu gimnazjalistka Henryka Kruszyńska, mam jej zdjęcie z sierpnia 1940. Z17 punktu Gieniek Kuźmiński też gimnazjalista, uciekł do domu

w maju 1940 r. Bezpośrednią sąsiadką na piętrowej pryczy była Stanisława Przewłocka z dwoma synami; Bogusławem Dużewiczem (1925 r) i Romualdem Przewłockim (1928 r). Mąż jej był pułkownikiem osadnikiem wojskowym, właścicielem majątku Prolejki k/Sopoćkin, powiat Grodno. Podobno syn jej Bogusław dostał się do Armii gen. Andersa i służył w wymarżonym lotnictwie. Czy przeżył tę wojnę, jaki spotkał go los? Ciekawa jestem bardzo. Pani Stanisława i mój ojciec często rozmawiali o przeszłości... Nic dziwnego... oboje byli osadnikami wojskowymi. Na tych 2 „lesopunktach” były jeszcze ze mną: Jadwiga Wierbołowna, Maria Ostrowska, z woj. Lwowskiego, pow. Żółkwia, Jadwiga Szwendrowska z Huty Augustów i Gienia Arciszewska, która wpisała mi do małego pamiętnika między innymi mądry wierszyk:

Chcesz być czymś w świecie, to się ucz,

Byś nie zginęła w tłumie,

Nauka, to potęgi klucz,

Ten w życiu więcej wart, kto więcej umie...

Oraz: *Bóg i Ojczyzna, To hasło Polaka!*

Powtarzałam go często ostatnimi czasy swojemu wnuczkowi Piotrowi B.

A koleżanka S. Duńcówna namalowała na kartce papieru śliczne różowe kwiatki z zielonymi listka-

mi i napisała: Na pamiątkę Kochanej Koleżance i Przyjaciółce w czasie wygnania na obczyźnie:

*Kiedy na wątlej puścisz się łodzi,
Po mętnych falach żywota,
Niech Cię prowadzi Droga Marysiu
Wiara, Nadzieja i Cnota.*

*Od Iny Duńcówny wygnanej z Pol-
ski, Suchobezwodna 25.08.1940 r.*

Po 2-ach miesiącach pobytu, z 6 punktu k/Suchobezwodnoje skierowano nas pociągiem towarowym w ramach łączenia rodzin do Archangielska. Stamtąd pociągiem i autami do odpowiednich rejonów w zależności od tego kto i gdzie miał swoją rodzinę. My z ojcem poprzez Wielsk dojechaliśmy do Szenkurska i dalej, około 40 km sańmi dotarliśmy leśną drogą do posesiłka Rossochy, z końcem października 1940 r. Tam pracowałam przy lżejszych pracach leśnych, jak korowanie drzew. Wyżywienie było możliwie dobre, ale trzeba było mieć pieniądze na jego wykupienie i siłę roboczą żeby je zarobić. Po wybuchu wojny z Niemcami 22 czerwca 1941 r zaczął pomału dokuczać głód i przybywało mogił na cmentarzu w lesie na górze. W wyniku amnestii ogłoszonej w następstwie układu Sikorski-Majski z dnia 30 lipca 1941 r ludność polska mogła opuszczać miejsca odosobnienia i szukać w pobliskich kołchozach lub miastach lepszych warunków życia. My początkowo pojechaliśmy na posesiłek Kika, gdzie praco-



*W Rossochach, w sierpniu 1991 r.
Od lewej: Jan, Henryk i Zdzisław
Włodarczykowie*

wałam przy zwózce drzewa i obcinaniu gałęzi z drzew. Po paru zaledwie dniach nie poradziłam sobie w pracy z koniem i zostałam zwolniona. Tam na Kice pewnego dnia patrzę w lustro i mówię do ojca: „Tatusiu, jak ja ładnie wyglądam, taka jestem pełna na buzi”, a ojciec mówi do mnie „Dziecko moje! Ty spuchłaś z głodu!” Rzeczywiście dostałam tzw. „kurzej ślepoty” i gdy zapadły ciemności musiałam iść po omacku do stołówki po marną zupę. W listopadzie lub grudniu 1941 r mężczyźni z całymi rodzinami podzieleni na grupy wyjeżdża-

li do polskiej armii utworzonej na południowym terytorium Związku Radzieckiego przez generała Władysława Andersa. Rodzina moja była w II grupie, która już nie zdążyła tam wyjechać. Zostaliśmy nadal w lasach archangielskich. Wtedy to ojciec zabrał rodzinę do kolchozu „Krasnoje Pleso” niedaleko Szenkurska. Tam razem z bratem Czesławem, jako pomocnikami pracował w warsztacie przy naprawie narzędzi rolniczych, niezbędnych do prac polowych w kolchozie. Pracy było dużo, majstra nie mieli, bo mężczyźni poszli na wojnę. Za dniówkę ojciec dostawał 2 „trudodni”, brat Czesław 1 tr., matka około 1 tr. a ja zaledwie ½ trudodnia. Przy rozliczeniu rocznym w sumie dostawaliśmy zboże, mąkę, ziemniaki itp. produkty. Czasami dodatkowo z sąsiedniego kolchozu za pracę dostawał ojciec masło a jeszcze w rzece Wadze złowił rybę. Ja chodziłam do szkoły w Szelaszy za rzeką, klasa VII odpowiadała naszej 3 gimnazjum, w roku szkolnym 1942/1943. Latem 1942 i 1943 roku pracowałam w kolchozie w polu (grabienie i suszenie siana itp.). W roku szkolnym 1943/1944 chodziłam do średniej Szkoły Pedagogicznej w Szenkursku, do klasy 8, którą ukończyłam w czerwcu 1944 r z wynikiem dobrym. Pamiętam jak 8 marca na Dzień Kobiet przy akompaniamentie fortepianu grałam na skrzypcach jakiś poważny utwór „Skowronek”

oraz śpiewałam po polsku przy kompletnej ciszy na sali szkolnej piosenkę;

Płynęli, po morzu i fali,

Tak z dala od rodzinnych stron,

Szczęśliwi, że płynęli sami,

A za nimi płynął... cały świat, itd.

Dostałam duże brawa, a przecież obcy im był język polski?

Dnia 25 kwietnia 1943 r Związek Radziecki zerwał stosunki dyplomatyczne z rządem polskim i ojca mego zaraz po tym oraz naszych mężczyzn powołano do Armii Czerwonej gdzieś koło Wołogdy. Po miesiącu, chyba w maju 1943 r ojciec wrócił do domu. Ale nie na długo. W październiku 1943 r ojciec został powołany do I Armii Wojska Polskiego, 2 Dywizja im. Dąbrowskiego, pod dowództwem podpułkownika Zygmunta Berlinga tworzącej się w Sielcach nad rzeką Oką na terytorium Związku Radzieckiego. Pamiętam jak odprowadzałam ojca do wojska. Poborowi odpływali statkiem rzeką Wagą. Żegnając się, bardzo wtedy płakałam, nie mogłam się oderwać od ojca, bardzo smutnego i przygnębionego. A ja w naiwności dziecięcej wierzyłam, że wróci z wojny i wrócił do Polski, wprost do swego miasta, Krakowa. Oczywiście modliłam się do Pana Boga o szczęśliwy powrót naszego ojca z wojny do domu. Być może Bóg wysłuchał modlitwy dziecka? Muszę tutaj nadmienić, że mieliśmy

bardzo dobrą i kochana matkę, gdy w okresie głodu i silnego mrozu wstawała o 3 w nocy w kolejce przed stołówką ażeby dostać ciepłej zupy dla dzieci i męża. A przecież rano musiała iść do ciężkiej pracy. Pracowała przy wyrębie lasu w brygadzie razem z mężczyznami, przy zwózce końmi drzewa w lesie, czy polewaniu w nocy z koniem lodzianki, bo w dzień musiał być zamrznięty lód na torze w lesie. Po tym torze, po pochyłym terenie, konie ciągnęły sanie z drzewem. Matka moja była niskiego wzrostu (150 cm) i drobnej budowy ciała. Jak dała sobie radę przy tej morderczej pracy o głodzie i przy trzaskającym mrozie, to jeden tylko Pan Bóg wie! Pewnego dnia zlecono mi pracę na lodziance. Na saniach były przymocowane duże skrzynie napełnione wodą do polewania nocą torów leśnych. Po opróżnieniu skrzyń z wody pozostał na nich bardzo gruby lód, który musiałam rąbać ciężką siekierą i wyrzucać łopatą na zewnątrz. Był silny mróz, świeciło słońce a ja głodna, słaba ostatkiem sił pracowałam w święto 1 stycznia 1942 roku. Myślałam ze smutkiem o tym, że gdzieś daleko w świecie ludzie teraz w ciepłych domach świętują, a ja tutaj niewolniczo pracuję.

Za udział naszych ojców i braci we wspólnej walce z Niemcami władze sowieckie przesiedliły rodziny polskie na południe Związku

Radzieckiego, z końcem czerwca 1944 r. Nas dowieźli do obwodu kirowogradzkiego, wylądowali na stacji Aleksandrówka i umieścili w sowchozie, w 2. „Sacharnym Kombinacie” w oddzielnych małych domkach po 2 rodziny w pokoju. Ja z rodziną byłam razem z Teresą i Henrykiem Włodarczykami. Matka ich Janina zmarła 5.02.1942 r jeszcze w Rossochach, a młodsze dzieci; Zdzisław, Helena i Jan zostały zabrane do Domu Dziecka w Ipatowie, w Stawropolskim Kraju. Zmarła też tam ich ciocia Katarzyna (siostra ojca). Ojciec Jan Włodarczyk i Feliks Józwiak, osadnicy wojskowi uciekli w grudniu 1939 r za granicę do Generalnej Guberni.

W sowchozie cukrowniczym ierniczym pracowałam przy zbiorze buraków cukrowych, kukurydzy, słonecznika i jako obmiarowiec pola zaoranego przez 5 traktorzystów zapisywałam w książce ilość wykonanej przez nich pracy w danym dniu. Na Ukrainie, w sowchozie warunki mieliśmy dobre. Pamiętam jak po przyjeździe tam smakował mi gęsty, dobry barszcz ukraiński. Była wiosna 1945 roku, padał deszcz, traktorzyści nie wyszli w pole orać. Ich brygadzysta kazał mi wpisać do książki jakąś ilość hektarów zaoranej ziemi, faktycznie nie zaoranej, bo padał deszcz. Tak też i uczyniłam. Pech chciał na moje nieszczęście, że koło południa



Prababcia Maria Czyżewiczowa ze swoją rodziną w czasie wigilii, grudzień 1992 rok

przyjechał z pobliskiej Aleksandrówki (6 km) główny agronom i odkrył moje kłamstwo. Wezwał mnie do biura i w obecności brygadzysty (ten nie zaprzeczał) powiedział do mnie; „Co ty zrobiła Maria? Wasi pojedą do domu do swego kraju, a ty dostaniesz następne 5 lat”. Przygnębiona spuściłam głowę i cóż miałam do powiedzenia? Byłam zdana na jego łaskę i niełaskę. Nie spełnił groźby. Drugi raz „ich” człowiek okazał się być dobrym człowiekiem (pierwszy raz w wypadku aresztowania mego ojca Franciszka w Baranowiczach przy ul. Hoovera 79).